

# ARTHUR CONAN DOYLE

PIES BASKERVILLE'ÓW

# Arthur Conan Doyle

## Pies Baskerville'ów

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23530170](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23530170)

*Pies Baskerville'ów:*

### Аннотация

Sir Karol Baskerville nie żyje, a na jego twarzy na zawsze zastygł grymas przerażenia. Miejscowi mówią, że winę za jego śmierć ponosi grasująca na wrzosowiskach hrabstwa Devon bestia. Ze strachem powtarzają historię o klątwie, sprowadzonej na ród przez Hugona Baskerville'a, okrutnika, który wieki wcześniej zawarł pakt z diabłem. Jakub Mortimer, znajomy świętej pamięci sir Karola, i Henryk, dziedzic majątku Baskerville-Hall, proszą o pomoc znanego detektywa. Listy z ostrzeżeniami, ekscentryczni sąsiedzi, ponurzy służący, dziwne kradzieże, odciski łap i wycie na bagnach – nic z tego nie sprzyja utrzymaniu spokoju ducha i trzeźwości umysłu, groza narasta. Na domiar złego, doktor Watson musi poradzić sobie w Devon bez swojego przyjaciela. Jaka jest prawda o piekielnej bestii? Czy rzeczywiście życie sir Henryka jest zagrożone? Tego dowiedzieć się może tylko Sherlock Holmes. Pies Baskerville'ów to jedna z bardziej znanych opowieści o Sherlocku Holmesie, doczekała się wielu adaptacji filmowych.

# Содержание

I. Pan Sherlock Holmes	5
II. Przekleństwo rodu Baskerville'ów	12
III. Zagadka	25
IV. Sir Henryk Baskerville	36
V. Trzy nici urwane	49
Конец ознакомительного фрагмента.	51

# Arthur Conan Doyle

## Pies Baskerville'ów

*Pies Baskerville'ów* – tytuł polskiego tłumaczenia, stanowiącego podstawę niniejszej publikacji, brzmi *Tajemnica Baskerville'ów*. Późniejsza tradycja utrwaliła jednak nazwę bliższą tytułowi oryginału *The Hound of the Baskervilles*.  
[przypis edytorski]

# I. Pan Sherlock Holmes

Pan Sherlock Holmes zwykł wstawać późno, o ile nie czuwał przez całą noc, a zdarzało mu się to nieraz. Otóż owego dnia wstał wyjątkowo wcześnie. Jadł śniadanie. Stałem przy kominku. Schyliłem się i podniosłem laskę, którą nasz gość zostawił wczorajszego wieczoru. Był to kij gruby, z dużą gałką, utoczoną z drewna; pod gałką była srebrna obrączka, a na niej napis: „Jakubowi Mortimerowi M. R. C. S. od przyjaciół C. C. H.”, pod spodem zaś data: „r. 1884”. Taką laskę staroświecką, mocną, zapewniającą bezpieczeństwo, zwykli nosić starzy lekarze.

– No, i cóż, Watson? Co pan myślisz o tej lasce? Jakie wyprowadzasz wnioski? – zapytał.

Holmes siedział, odwrócony do mnie plecami; wiedzieć mnie nie mógł, a ja zachowywałem się tak cichutko, że nie mógł domyślić się, czym jestem zajęty.

– Masz pan chyba oczy z tyłu głowy... – rzekłem.

– Mam przed sobą srebrny imbryk – odparł – ale powiedz mi, Watson, co myślisz o lasce naszego gościa? Skoro nie zastał nas w domu i nie wytłumaczył celu swych odwiedzin, ta mimowolna pamiątka nabiera wielkiego znaczenia. Chciałbym też wiedzieć, jakie pojęcie tworzysz sobie o tym człowieku?

– Sądzę – odparłem, trzymając się metody dociekań mojego towarzysza – że doktor Mortimer jest lekarzem średniego wieku, zażywającym szacunku; dowodzi tego ów upominek pacjentów.

– Dobrze, wybornie! – pochwalił mnie Holmes.

– Sądzę dalej, że jest lekarzem prowincjonalnym i że po większej części odwiedza chorych pieszo.

– Dlaczego tak pan przypuszczasz?

– Bo laska, choć pierwotnie ładna, jest tak zniszczona, że żaden lekarz miejski nie chciałby jej używać. Grube okucie żelazne starło się, co dowodzi, że laska była w częstym użyciu.

– Słuszne rozumowanie – przytwierdził Holmes.

– A dalej, napis od przyjaciół z C. C. H. świadczy, że lekarz niósł pomoc członkom jakiegoś klubu myśliwskiego (Hunting Club).

– Istotnie, Watson, przechodzisz sam siebie – rzekł Holmes, zapalając papierosa. – Muszę przyznać, że pańskie wnioski są słuszne. Mam pojętego ucznia. Wyświetliłeś kilka punktów zupełnie ciemnych.

Nigdy jeszcze Holmes nie odzywał się do mnie w sposób tak pochlebny. Cieszyłem się z jego uznania, na które od dawna już usiłowałem zasłużyć, stosując jego metodę badań w sprawach kryminalnych.

Po chwili milczenia, odebrał mi laskę i przypatrywał jej się gołym okiem. Następnie odłożył papierosa, odszedł z laską do okna i począł jej się przyglądać przez szkło powiększające.

– Ciekawe, bardzo ciekawe... – rzekł, wracając na swoje ulubione miejsce przy kominku.

– Czy pan dopatrywał się jakiego nowego szczegółu, mogącego służyć za wskazówkę? – spytałem, spodziewając się, że nic

ważnego nie uszło mojej baczości.

– Zdaje mi się, mój drogi Watsonie, że prawie wszystkie twoje wnioski były mylne. Pod jednym tylko względem miałeś słuszność, a mianowicie, że posiadacz tej laski jest doktorem prowincjonalnym i że dużo chodzi.

– A więc nie omyliłem się?

– Na tym punkcie – nie.

– A na innych?

– Inne wywody były fałszywe. I tak, na przykład, twierdzisz, że laska jest darem jakiegoś prowincjonalnego klubu myśliwskiego. Ja przypuszczam, że ofiarowali ją lekarzowi pensjonariusze szpitala Charing Cross (**C. C. H.**).

– Przyznaję, że to jest prawdopodobniejsze. Jaki pan stąd wyprowadza wniosek?

– Znana jest panu moja metoda badania. Zastosuj ją w praktyce.

– Mogę to tylko wywnioskować, że przed osiedleniem się na wsi, ten lekarz praktykował w mieście.

– Sądzę, że możemy posunąć się jeszcze dalej na drodze przypuszczeń. Ten dar został wręczony w chwili, gdy doktor Mortimer opuszczał szpital, aby rozpocząć praktykę na własną rękę.

– Prawdopodobnie.

– Jakież mógł on zajmować stanowisko w tym szpitalu? – albo lekarza ordynującego, albo studenta-praktykanta. Zapewne to ostatnie, bo doktor szpitalny, z wyrobioną opinią i liczną

praktyką, nie opuszcza zajmowanej pozycji, aby się przesiedlać na prowincję. Doktor Mortimer opuścił szpital przed laty pięciu, jak to wskazuje data na lasce. W owym czasie ukończył zapewne uniwersytet, a więc upada pański wniosek, iż jest człowiekiem średniego wieku. Doktor Mortimer ma lat trzydzieści niespełna, jest uprzejmym, dobrym, niezbyt ambitnym, roztargnionym. Ma psa trochę większego od jamnika, a mniejszego od wyżła.

Roześmiałem się niedowierzająco. Holmes zasiadł wygodnie w fotelu i puszczał kłęby dymu.

– Nietrudno będzie przekonać się, który z nas dwóch ma rację – rzekłem, zbliżając się do szafki bibliotecznej i wyjmując z niej kalendarz z wykazem lekarzy angielskich oraz ich życiorysem. Spośród wielu Mortimerów, jeden tylko mógł być tym, o którego nam chodziło. Odczytałem głośno:

„Mortimer Jakub, lekarz powiatowy w Grimpen, Dartmoor, hrabstwo Devsu. Był studentem-praktykantem w szpitalu Charing-Cross od r. 1882 do 1884. Otrzymał nagrodę Jacksona za studium z zakresu patologii porównawczej, zatytułowane: „Czy choroba jest zboczeniem?” Jest członkiem szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego, autorem wielu artykułów, jako to: „Kilka przykładów atawizmu” (drukowany w „Lancet” w r. 1882), „Czy idziemy z biegiem postępu?” („Dziennik Psychologiczny” 1883). Jest lekarzem powiatowym gmin Grimpen, Thorsley i High Barrow”.

– Widzisz pan, że miałem słuszną rację – rzekł Holmes. – Obstawiam dalej przy moich hipotezach, że doktor Mortimer musi być

uprzejmy, bo tylko człowiek uprzejmy dostaje takie upominki od swoich pacjentów; że nie jest ambitny, bo inaczej nie opuszczałby Londynu dla prowincji, i że jest roztargniony, bo w razie przeciwnym, zamiast laski, zostawiłby swój bilet wizytowy.

– Jakież są pańskie wnioski co do psa?

– Jego pies zwykł nosić laskę w zębach; ponieważ laska jest ciężka, więc ją trzyma pośrodku; w tym miejscu znać ślady psich zębów. Zęby są za duże na jamnika, za małe na wyżła. To może być... tak, to jest pinczer.

Holmes przeszedł przez pokój i stanął we framudze okna. W głosie jego było tyle głębokiego przekonania, że nie mogłem się wstrzymać, aby go nie zapytać?

– Skąd taka pewność?

– Dla bardzo prostej przyczyny, że mam tego psa przed oczyma; stoi za tymi drzwiami, a jego właściciel w tej chwili właśnie do nich dzwoni. Proszę cię, Watson, nie wychodź z pokoju. Jest pańskim kolegą<sup>2</sup>, i pańska obecność może mi być przydatną. Nadchodzi ważna chwila. Zbliżają się kroki, które mogą stanowić o przeznaczeniu – złym czy dobrym – nie wiadomo. Ciekaw jestem, czego doktor Jakub Mortimer zażąda od Sherlocka Holmesa, specjalisty od przestępstw kryminalnych... Proszę!

Do pokoju wszedł nasz gość. Jego powierzchowność zdziwiła mnie bardzo. Nie wyglądał na prowincjonalnego

---

<sup>2</sup> jest pańskim kolegą – tj. kolegą po fachu; dr Watson nie zna osobiście dr. Mortimera. [przypis edytorski]

lekarza. Był wysoki, szczupły, miał nos wąski, wysuwający się ostro pomiędzy oczu przenikliwych, zasłoniętych ciemnymi okularami, w złotej oprawie. Ubrany był w długi, poplamiony surdut, spodnie miał wystrzępione. Choć jeszcze młody wiekiem, był już przygarbiony; na jego twarzy malowała się dobra wola względem ludzi. Wchodząc, zobaczył od razu laskę w rękę Holmesa i podbiegł ku niej z okrzykiem radości.

– Tak się cieszę! – zawołał. – Nie byłem pewny, czym ją zostawił tutaj, czy w biurze portowym. Gdybym ją zgubił, sprawiłoby mi to wielką przykrość.

– Wszak to prezent? – rzekł Holmes.

– Tak, panie.

– Od pensjonariuszy hotelu Charing Cross...

– Tak, od paru pacjentów. Dali mi ją na pamiątkę mojego ślubu.

– Szkoda – rzekł Holmes, ściskając mu rękę.

– Czego pan żałuje? – spytał doktor Mortimer ze zdziwieniem.

– Szkoda, że pan rozproszył moje wnioski – brzmiała odpowiedź. – A więc powiadasz pan, że to podarek ślubny?

– Tak, panie. Ożeniłem się i dlatego musiałem szpital opuścić; trzeba było założyć dom, postarać się o praktykę samodzielną.

– No, i teraz zyskujesz pan sobie sławę na polu nauki – rzekłem.

– Wszak mam przyjemność mówić z panem Sherlockiem Holmesem?

– Nie, to mój przyjaciel, doktor Watson.

– Miło mi pana poznać. Słyszałem o panu nieraz. Pozwoli mi pan, panie Holmes, zbadać swoją czaszkę. Od pierwszego rzutu oka spostrzegłem, że jest niezwykła: zdradza zdolności, rzekłbym nawet – geniusz dedukcyjny. Taka czaszka byłaby ozdobą każdego muzeum. Przyznaję, że jej panu zazdroszczę.

– Jesteś pan entuzjastą w swoim zawodzie, tak jak ja w swoim – odparł detektyw – ale sądzę, że nie przybywasz pan tu po raz wtóry jedynie w zamiarze zbadania mojej czaszki...

– Nie, panie, choć rad jestem, że zdarza mi się sposobność ku temu. Przybyłem do pana, panie Holmes, bo uznaję własną niepraktyczność, a jestem postawiony wobec bardzo trudnego zagadnienia. Ponieważ pan jesteś drugim w Europie ekspertem w sprawach kryminalnych...

– Doprawdy? Czy wolno mi zapytać, kto jest pierwszy?

– W oczach człowieka, przekładającego teorię nad praktykę, pan Bertillion zajmuje niewątpliwie pierwsze miejsce.

– Więc czemuż pan nie zwrócisz się do niego?

– Powiadam, że jest on pierwszorzędny powagą, jako teoretyk. Ale pan, jako praktyk, zajmujesz pierwsze w Europie – to niewątpliwe. Spodziewam się, że pana nie obraził...

– Trochę – odparł Holmes na wpół żartem – ale jako człowiek praktyczny, chciałbym nareszcie dowiedzieć się, co pana tutaj sprowadza.

## II. Przekleństwo rodu Baskerville'ów

– Mam w kieszeni rękopis – rzekł doktor Jakub Mortimer.

– Spozrzegłem to od razu, gdyś pan wszedł do pokoju – odparł Holmes.

– Manuskrypt jest stary.

– Z osiemnastego wieku.

– Skąd pan wie?

– Z pańskiej kieszeni wychodzi pół cala papieru. Przyglądałem mu się, podczas gdyś pan mówił, a byłbym lichym rzeczoznawcą, gdybym z zewnętrznego wyglądu nie potrafił określić daty rękopisu. Czytałeś pan zapewne moją monografię w tym przedmiocie. Otóż w tym wypadku sędzę, że manuskrypt datuje się z roku 1730-go.

– Omyliłeś się pan o lat dwanaście. Datowany jest z roku 1742-go.

Doktor Mortimer wyjął go z kieszeni.

– Ten dokument rodzinny został powierzony mojej pieczy przez sir Karola Baskerville'a, którego śmierć tragiczna poruszyła przed trzema miesiącami całe Devonshire. Dodam, że byłem jego osobistym przyjacielem, zarówno jak lekarzem domowym. Był to człowiek dzielny, rozumny, praktyczny i tak samo jak ja, nie podlegający złudzeniom wyobraźni. A jednak wierzył święcie słowom tego dokumentu i był przygotowany na rodzaj śmierci, który go spotkał...

Holmes wyciągnął rękę po manuskrypt i począł mu się bacznie przyglądać.

– Zwracam pańską uwagę, Watson, na kolejne używanie krótkiego i długiego s. Jest to jedna ze wskazówek, która mi pomogła do określenia daty.

Spojrzałem przez ramię na papier, pożółkły ze starości. Na pierwszej stronie był nagłówek; „Baskerville-Hall”, a pod spodem data: „1742”.

– To zapewne potwierdzenie jakiejś legendy – wtrącił Holmes.

– Rzeczywiście – przyznał doktor Mortimer. – Legenda tyczy się rodu Baskerville'ów.

– Przypuszczam jednak, że pragniesz pan zasięgnąć mojej rady w sprawie aktualniejszej i bardziej realnej – rzekł Holmes.

– Tak. Chodzi mi o fakt zagadkowy, który zdarzył się niedawno; muszę rozstrzygnąć zagadkę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale manuskrypt jest krótki i ma ścisły związek z tą sprawą. Zatem odczytam go panu, jeśli pan pozwoli.

Holmes skinął głową. Zasiadł wygodnie w fotelu, złożył ręce tak, że palce stykały się z palcami, przymknął oczy i słuchał z rezygnacją.

Doktor Mortimer podsunął manuskrypt pod światło i głosem dobitnym czytał, co następuje:

– „Rozmaite pogłoski krążyły o Psie Baskerville'ów, lecz ja, pochodząc w prostej linii od Hugona Baskerville, słyszałem tę historię z ust mojego ojca, który znowu słyszał ją od swojego,

więc ją spisuję z całą wiarą. Pragnąłbym, abyście i wy, moi synowie, nabrali głębokiego przekonania, że Sprawiedliwość, karcąca winę, może ją odpuścić, i że żadna kara nie jest tak ciężką, aby modlitwa i pokuta nie zdołały jej zatrzeć. Niech te dzieje nauczą was, że nie należy bać się owoców przeszłości, lecz raczej być ostrożnym na przyszłość, aby dzikie chucie, za które nasz ród poniósł tak srogą karę, nie rozkiełznały się znowu na naszą zgubę.

Dowiedzcie się więc, że za czasów Wielkiej Rewolucji (polecam wam przeczytać dzieje tej epoki, skreślone przez lorda Clarendona); otóż w owych czasach w zamku Baskerville rządził Hugon, a był to, przyznać muszę, człowiek porywczy i bezbożnik.

Sąsiedzi przebaczyliby łatwo to ostatnie wykroczenie, bo nasza okolica nie słynęła nigdy z religijności, ale nie mogli mu przebaczyć wrodzonego okrucieństwa.

Otóż ów Hugon pokochał (jeśli można tym mianem nazwać tak dzikie uczucie), pokochał zatem córkę czynszownika, dzierzawiącego grunta w pobliżu dóbr Baskerville. Ale dziewczyna, będąc skromną i bogobojną, obawiała się go jak szatana. Otóż pewnego wieczora na jesieni, w dzień świętego Michała, ów Hugon na czele pięciu czy sześciu kompanów zakradł się do farmy i uprowadził dziewczynę, korzystając z chwili, gdy ojciec i bracia jej byli nieobecni.

Przywieźli biedaczkę na zamek i osadzili ją w komnacie wieżowej, Hugon i jego towarzysze zasiedli do nocnej uczy,

wedle zwyczaju. Słyszając ich pijackie wrzaski, dziewczyna truchlała, lecz była z natury dzielną, więc opanowała strach i postanowiła ratować się. Ogromna brzoza osłaniała i do dziś dnia osłania okno tej narożnej komnaty. Dziewczę uczepiło się jej gałęzi i spuściło się na nich na dół, a dostawszy się na swobodę, łąkami i polami bieгло do farmy swego ojca, oddalonej o trzy mile od zamku.

Wkrótce potem Hugon, zostawiwszy swoich kompanów przy butelkach i kartach, podążył do swojej ofiary, a widząc, że ptaszek opuścił klatkę, jak szalony powrócił do komnaty biesiadnej, wytlukł szkło i wśród okropnych przekleństw i złorzeczeń zaprzysiągł, że odda ciało i duszę diabłu, jeśli ten dopomoże mu odzyskać dziewczynę. Pijani towarzysze słuchali go w przerażonym milczeniu, tylko jeden, gorszy, a może bardziej pijany od innych, poddał myśl, aby za dziewczyną puścić psy podwórzowe.

Słyszając to, Hugon wybiegł przed dom, zwołał chłopców stajennych, kazał im osiodłać swoją klacz ulubioną i spuścić psy z łańcuchów; jednemu, najdziksze mu, dał do powąchania chustkę dziewczyny, zostawioną w narożnej komnacie, i popędził przez łąki w noc księżycową.

Towarzysze hulanki rzucili się do koni, chwycili pistolety i pognali za swoim amfitrionem, a było ich razem trzynastu. Księżyc świecił jasno, pędził galopem drogą, którą musiała uciekać dziewczyna, jeśli podążyła do domu.

Ujechali z półtóry mili, gdy spostrzegli nocnego pastucha.

Pytali go, czy nie widział brytanów. Wystraszony odparł, że przed chwilą biegły za jakąś dziewczyną.

– Ale widziałem coś więcej – mówił. – Hugon Baskerville pędził tędy na swojej karej klaczy, a za nim leciał jakiś pies okropny, czarny, jakby szatan wcielony. Niech mnie Bóg broni, żebym kiedy jeszcze miał spotkać podobnego potwora na mojej drodze.

Pijani towarzysze cisnęli pastuchowi przekleństwo i pognali naprzód. Ujechali jeszcze z pół mili. Nagle włosy stanęły im dębem ze strachu, bo oto przed nimi pędziła klacz kara, pokryta pianą, bez siodła i bez jeźdźca.

Towarzysze zbili się w gromadkę, bo ich strach oblatywał, lecz jechali dalej, choć każdy z nich, gdyby był sam, zawróciłby konia i uciekł do zamku, ale jeden wstydził się drugiego. Człapiąc wolno, zrównali się wreszcie z brytanami; te, choć znane w całej okolicy ze swej zajadłości, leżały teraz w rowie, wystraszone, i wyły przeraźliwie.

Kompania zatrzymała się. Jeźdźcy otrzeźwieli od razu. Jedni chcieli zawracać, drudzy postanowili przekonać się, co zaszło. Księżyc świecił tak jasno, że można było szpilki zbierać.

O milę dalej, na polu, sterczały wysokie kamienie. Pomiedzy nimi leżała dziewczyna, martwa, a obok niej Hugon Baskerville – nieżywy.

Ale nie ten widok, choć straszny i niespodziany, najeżył włosy pijackiej kompanii; straszniejszy obraz przedstawił się ich oczom: nad zwłokami Hugona stał pies czarny, ogromny,

wyszczerał zęby i błyskał ślepiami. Jeden z towarzyszków padł na miejscu, rażony strachem, drugi utracił zmysły, reszta hulaszczej kompanii do końca życia nie zapomniała tego wrażenia.

Taką jest, moi synowie, legenda o psie, który od owego czasu trapił naszą rodzinę. Spisałem ją, abyście wiedzieli, jak się rzeczy istotnie miały i nie wierzyli krążącym baśniom. Nie będę taił przed wami, że po tym wypadku wielu mężczyzn w naszym rodzie umarło śmiercią nagłą, krwawą i tajemniczą. Jednak nie traćmy wiary w miłosierdzie Boskie, które karcii niewinnych tylko do trzeciego lub czwartego pokolenia. Opatrzności Boskiej, moi synowie, was polecam i ostrzegam, abyście nie przechodzili przez tę łąkę po nocy, gdy te duchy są rozkiełznane”.

(To są przestrogi Hugona Baskerville, spisane dla jego synów, Rogera i Jana, z rozkazem, aby o tym wszystkim nie wspominali swojej siostrze, Elżbiecie).

\*

Doktor Mortimer skończył czytać tę niezwykłą opowieść, sunął na oczy okulary i spojrzał na pana Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął i rzucił papierosa w ogień.

– No i cóż? – rzekł.

– Czy historia ta nie jest interesująca?

– Zapewne dla zbieracza starych legend i baśni.

Doktor Mortimer wyjął z kieszeni gazetę.

– A teraz, panie Holmes – rzekł – pokażę panu coś

aktualniejszego. Oto dziennik „Devon County Chronicle” z dnia 14-go maja roku bieżącego. Jest w nim opis faktów, odnoszących się do śmierci Karola Baskerville, która zdarzyła się na kilka dni przed ową datą.

Mój przyjaciel nachylił się i począł słuchać uważniej. Doktor Mortimer czytał:

„Niedawna i nagła śmierć sir Karola Baskerville, kandydata liberalnego z hrabstwa Devon, przejęła całą naszą okolicę zdumieniem i trwogą. Jakkolwiek sir Karol Baskerville mieszkał w Baskerville-Hall od niedawna, lecz jego uprzejmość, hojność i szlachetność zjednały mu szacunek tych wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia. W dzisiejszej epoce parweniuszów miło jest widzieć potomka starożytnego a podupadłego rodu, odzyskującego fortunę swych przodków i przywracającego świetność staremu nazwisku.

Sir Karol, jak wiadomo, zyskał duży majątek na spekulacjach w Afryce Południowej, a będąc z natury przezornym, nie kuślił dalej szczęścia, które mogłoby się odwrócić od niego, jak to czyni z innymi, i zrealizowawszy swoją fortunę, powrócił do Anglii.

Przed dwoma laty zaledwie osiadł w Baskerville-Hall; znane są jego szerokie plany odnowienia starej siedziby i wprowadzenia ulepszeń w gospodarstwie rolnym. Śmierć przeszkodziła ich urzeczywistnieniu.

Będąc bezdzietnym, pragnął, aby cała okolica korzystała z jego fortuny i niejeden z sąsiadów ma ważne powody do

opłakiwania jego przedwczesnego zgonu. Donosiliśmy często na tych szpaltach o jego hojnych ofiarach na instytucje publiczne.

Śledztwo nie wyjaśniło dotychczas okoliczności towarzyszących śmierci sir Karola. Krążą tu najdziwniejsze legendy, przypisujące ów nagły zgon działaniu sił nadprzyrodzonych.

Sir Karol był wdowcem, uważano go powszechnie za dziwaka. Pomimo dużej fortuny, miał przyzwyczajenia proste, skromne. Personel służbowy w Baskerville-Hall składał się z kamerdynera, nazwiskiem Barrymore, jego żony, kucharki i gospodyni w jednej osobie. Oboje zeznają, że zdrowie sir Karola w ostatnich czasach było nietęgę, że rozwijała się w nim choroba serca, objawiająca się bladością, brakiem tchu i częstymi omdleniami. Doktor Jakub Mortimer, przyjaciel i domowy lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

Sir Karol Baskerville zwykł był co wieczór, przed pójściem na spoczynek, przechadzać się po słynnej alei wiązów przed zamkiem. Małżonkowie Barrymore opowiadają, że wieczorem 4-go maja ich pan oznajmił im, że nazajutrz wyrusza do Londynu i kazał pakować kuferek.

Owego wieczoru wyszedł, jak zwykle, na przechadzkę, wśród której wypalał cygaro.

Z tej przechadzki już nie powrócił.

O dwunastej Barrymore, widząc drzwi frontowe jeszcze otwarte, zaniepokoił się, i wzięwszy latarnię, poszedł szukać

swego pana. W ciągu dnia deszcz padał, więc łatwo było dojrzeć ślady stóp sir Karola wzdłuż alei. W połowie drogi jest furtka, prowadząca na łąkę.

Były ślady, że sir Karol stał przy niej przez czas pewien, następnie skręcił znowu w aleję. Znalaziono jego trupa na jej końcu.

Pomiędzy innymi dotychczas nie wyjaśniono jednego faktu, wynikającego z zeznań Barrymore'a, a mianowicie, że ślady kroków jego pana zmieniły się z chwilą, gdy stał przy furtce i że odtąd szedł na palcach.

Niejaki Murphy, Cygan, handlujący końmi, znajdował się wówczas na łące, w pewnej odległości od nieboszczyka, ale sam przyznaje, że był pijany. Powiada, że słyszał krzyki, ale nie może określić, skąd wychodziły.

Na ciele sir Karola nie było śladów przemocy lub gwałtu, a chociaż lekarz zeznaje, że wyraz twarzy nieboszczyka był tak zmieniony, że on, doktor Mortimer, w pierwszej chwili poznać go nie mógł, rzeczoznawcy tłumaczą to aneurysmem serca, przy którym zachodzą podobne objawy.

Sekcja wykazała przedawnioną wadę serca, sędzia śledczy potwierdził badanie lekarskie. Pożądanym jest, aby spadkobierca sir Karola mógł objąć jak najprędzej majątek i prowadzić dalej chlubną działalność, przerwana tak nagle i tak tragicznie.

Gdyby prozaiczne orzeczenie sędziego śledczego i rzeczoznawców nie położyło końca romantycznym historiom,

krażącym na temat owej śmierci, niełatwo byłoby znaleźć właściciela Baskerville-Hall.

Domniemanym spadkobiercą jest pan Henryk Baskerville, syn młodszego brata sir Karola. Ów młodzieniec przed kilku laty wyruszył do Ameryki. Zarządzono poszukiwania. Dowie się on zapewne niebawem o zmianie swojego losu”.

Doktor Mortimer złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni, mówiąc:

– To są fakty powszechnie znane.

– Dziękuję panu za zwrócenie mojej uwagi na sprawę istotnie ciekawą – rzekł pan Holmes. – Czytałem o niej, co prawda, w dziennikach, ale w owym czasie byłem zajęty kameami, które zniknęły z Muzeum Watykańskiego. Chciałem się przysłużyć papieżowi i straciłem z oczu to, co się jednocześnie działo w Anglii. Ten artykuł, powiadasz pan, zawiera fakty, znane powszechnie?

– Tak.

– Zechciej więc pan uświadomić mnie teraz o tym, czego nikt nie wie.

Sherlock Holmes oparł się o poręcz fotelu i znowu złożył ręce tak, aby palce stykały się końcami.

– Uczynię to – rzekł doktor Mortimer, zdradzając coraz większe wzburzenie. – Powiem panu to, czego nie mówiłem jeszcze nikomu. Zatałem to przed sędzią śledczym z pobudek, które pan zapewne zrozumie. Jako człowiek nauki, nie chciałem zdradzać się publicznie, iż wierzę w przesady. Dalej,

rozumiałem, że gdyby utwierdziła się wiara w nadprzyrodzone siły, rządzące w Baskerville-Hall, nikt nie zechciałby objąć starego domu w posiadanie. Dla tych dwóch powodów nie zeznałem przed sądem wszystkiego, co wiem – albowiem nie zdałoby się to na nic sędziemu śledczemu – ale z panem będę zupełnie szczery.

Okolica jest mało zaludniona, rezydencje rzadkie, a siedziby włościńskie rozrzucone na znacznej odległości od siebie.

Widywałem często sir Karola Baskerville, który był spragniony towarzystwa. Oprócz p. Franklanda w Lafter-Hall i naturalisty, p. Stapletona, w pobliżu nie ma ludzi inteligentnych. Sir Karol był skryty, małomówny. Zbliżyliśmy się z powodu jego choroby, przy tym łączyły nas wspólne upodobania naukowe. Przywiózł wiele ciekawych wiadomości z Afryki Południowej. Spędziliśmy niejedną miłą wieczór na rozprawach o anatomii porównawczej.

W ciągu ostatnich paru miesięcy spostrzegłem, że system nerwowy sir Karola był nadwreżony. Wziął tak dalece ową legendę do serca, że choć co wieczór odbywał spacer, nic go nie mogło skłonić do wejścia na łąkę po zachodzie słońca. Prześladowała go wciąż obawa upiorów i pytał mnie nieraz, czym nie widział jakiego dziwnego stworzenia i czym nie słyszał szczekania. Te pytania zadawał mi zawsze głosem drżącym.

Wraziła mi się w pamięć jedna z moich wizyt u niego przed trzema tygodniami. Stał w sieni. Gdym schodził z wózka, spostrzegłem, że patrzy poprzez moje ramię ze strachem w

oczach. Odwróciłem się i spostrzegłem jakiś kształt dziwny, podobny do dużego, czarnego cielęcia. Przeleciało to poza moim wózkiem.

Sir Karol był tak wzburzony, że poszedłem szukać tego osobliwego zwierzęcia. Ale nigdzie go nie było. Mój pacjent nie mógł się uspokoić. Zostałem z nim przez cały wieczór i wtedy, tłumacząc swe wzburzenie, opowiedział mi całą tę historię.

Wspominam o tym drobnym epizodzie, gdyż nabiera on znaczenia wobec tragedii, która potem nastąpiła; na razie nie przywiązywałem do tego wagi i dziwiłem się wzburzeniu sir Karola.

Miał jechać do Londynu z mojej porady. Wiedziałem, że jest chory na serce i że ciągły niepokój źle wpływa na jego zdrowie. Sądziłem, że parę miesięcy, spędzonych na rozrywkach, uwolni go od tych mar i przywidzeń. Nasz wspólny przyjaciel, pan Stapleton, był tego samego zdania. I oto wynikło nieszczęście.

Zaraz po śmierci sir Karola kamerdyner Barrymore wyprawił do mnie *grooma*<sup>3</sup> Perkinsa; przybyłem do Baskerville-Hall w godzinę po katastrofie. Zbadałem wszystkie fakty, przytoczone w śledztwie. Szedłem śladami, pozostawionymi w Alei Wiązów, obejrzałem miejsce przy furtce, gdzie sir Karol zatrzymał się, i zmiarkowałem, że od owego miejsca szedł na palcach i że nie było śladu innych kroków, oprócz późniejszych, Barrymore'a. Wreszcie obejrzałem starannie zwłoki, które pozostały nietknięte do mego przybycia.

---

<sup>3</sup> *groom* (ang.) – stajenny, parobek. [przypis edytorski]

Sir Karol leżał na wznak z rozciągniętymi rękoma, twarz była tak zmieniona, że zaledwie mogłem ją poznać. Na ciele nie było żadnych obrażeń. Ale Barrymore w toku śledztwa uczynił jedno zeznanie fałszywe. Powiedział, że nie było żadnych śladów dokoła trupa. Nie spostrzegł ich, ale ja dostrzegłem – zupełnie świeże, w pobliżu.

– Czy ślady kroków?

– Tak.

– Męskie, czy kobiece?

Doktor Mortimer patrzył na nas przez chwilę dziwnymi oczyma, wreszcie odparł szeptem:

– Panie Holmes, były ślady kroków... psa... olbrzymiego.

### III. Zagadka

Przyznaję, że gdym słuchał tego opowiadania, przebiegały po mnie dreszcze. I doktor był żywo poruszony.

– Widziałeś pan te ślady? – spytałem.

– Tak, na własne oczy; tak wyraźnie, jak teraz widzę pana.

– I nic pan nie mówiłeś?

– Po co?

– Dlaczego nikt inny nie dostrzegł tych śladów?

– Pozostały o jakie dwa łokcie od trupa; nie zwrócono na nie uwagi i ja bym ich nie zauważył, gdybym nie był znał tej legendy.

– Dużo jest psów w okolicy.

– Tak, ale to nie był zwykły pies. Powiedziałem już panom, że był ogromny.

– Czy nie zbliżył się do trupa?

– Nie.

– Czy noc była jasna?

– Nie; pochmurna i wilgotna.

– Ale deszcz nie padał?

– Nie.

– Jak wygląda aleja?

– Jest wysadzana dwoma rzędami wiązków i opasana żywopłotem wysokości 12 stóp. Sama aleja ma 8 stóp szerokości.

– Czy jest co pomiędzy żywopłotem a aleją?

– Tak; po obu stronach biegnie trawnik, szerokości 6 stóp.

– O ile zrozumiałem, jest wejście przez furtkę?

– Tak, furtka prowadzi na łąkę.

– Czy są inne wejścia?

– Nie ma.

– Tak, iż aby wkroczyć w Aleję Wiązów, trzeba wyjść z domu,

lub iść przez łąkę?

– Jest trzecie wejście przez altanę, na drugim końcu alei.

– Czy sir Karol doszedł do tej altany?

– Nie; znaleziono go o pięćdziesiąt łokci od niej.

– A teraz zechciej mi pan powiedzieć, doktorze Mortimer – będzie to szczególnie ważny – czy ślady, któreś pan spostrzegł, pozostały na żwirze, czy na trawie?

– Nie mogłem dojrzeć śladów na trawie.

– Czy ślady były po tej samej stronie, co furtka?

– Tak, po tej samej.

– Bardzo mnie pan zaciekawia. Jeszcze jedno pytanie. Czy furtka była zamknięta?

– Zamknięta na klucz i zaryglowana.

– Jak jest wysoka?

– Ma około 4-ch stóp.

– A więc można ją łatwo przesadzić?

– Tak.

– A jakie ślady znalazłeś pan przy furtce?

– Żadnych, które by mogły zwrócić uwagę.

– Czyżes pan nie oglądał ziemi dokoła?

– I owszem, oglądałem.

– I nie dostrzegłeś pan żadnych śladów?

– Były bardzo niewyraźne. Widocznie sir Karol stał tutaj przez pięć do dziesięciu minut.

– Skąd pan to wie?

– Gdyż popiół z cygara spadł dwa razy na ziemię.

– Wybornie. Znaleźliśmy kolegę wedle naszego serca. Prawda, Watson? Ale jakież to były ślady?

– Ślady stóp na żwirze. Innych znaków dostrzec nie mogłem. Sherlock Holmes uderzył ręką w kolano.

– Czemu mnie tam nie było! – zawołał. – Jest to wypadek bardzo ciekawy, dający obfite pole do naukowej ekspertyzy. Czemuż nie mogłem odczytać tej żwirowej karty, zanim ją zatarły inne stopy! Doktorze Mortimer, że też mnie pan nie uwiadomił wcześniej! Jeśli nam się nie uda wyświecić sprawy, cała odpowiedzialność spadnie na pana.

– Nie mogłem pana wzywać, panie Holmes, bo w takim razie musiałbym ujawnić te fakty przed całym światem, a mówiłem już, że sobie tego nie życzyl. Zresztą... zresztą...

– Czemu pan nie kończysz?

– Bywają dziedziny, niedostępne nawet dla najbystrzejszych i najdoświadczeńszych detektywów...

– Chcesz pan powiedzieć, że wchodzi to w zakres rzeczy nadprzyrodzonych?

– Tego nie twierdzę stanowczo.

– Ale pan tak myślisz w głębi ducha.

– Od owej tragedii doszły do mojej świadomości fakty,

sprzeczne z ogólnymi prawami natury.

– Na przykład?

– Dowiaduję się, że przed tą katastrofą kilku ludzi widziało na łące niezwykle stworzenie, podobne do złego ducha Baskerville'ów. Wszyscy mówią, że był to pies ogromny, przezroczysty. Wypytywałem tych ludzi – jeden z nich jest włościaninem, drugi kowalem, trzeci farmerem. Ich zeznania są jednakowe. W całej okolicy zapanował strach przesądny. Nikt po nocy nie przejdzie przez łąkę.

– I pan, człowiek nauki, wierzy w takie baśnie? – zawołał Holmes.

– Dotychczas moje badania ogarniały świat zmysłów; usiłowałem walczyć z chorobą, ale ze złymi duchami walczyć nie umiem. Zresztą musisz pan przyznać, że ślady stóp są dowodem materialnym. Pies Hugona nie był także zjawiskiem nadprzyrodzonym, skoro mógł zagryźć na śmierć, a jednak miał w sobie coś szatańskiego.

– Widzę, że pan przeszedłeś do obozu spirytystów. Ale zechciej mi powiedzieć jeszcze jedno, doktorze Mortimer. Jeżeli pan skłaniasz się ku takim zapatrywaniom, dlaczego przyszedłeś zasięgnąć mojej rady? Powiadasz pan jednym tchem, że nie warto przeprowadzać śledztwa w sprawie zabójstwa sir Karola, a jednocześnie prosisz mnie, żebym się tą sprawą zajął.

– Nie prosiłem o to.

– Więc w jaki sposób mogę panu dopomóc?

– Radząc mi, co mam zrobić z sir Henrykiem Baskerville,

który przybywa na dworzec Waterloo – doktor Mortimer spojrzął na zegarek – za godzinę i kwadrans – dokończył.

– Czy on jest spadkobiercą?

– Tak. Po śmierci sir Karola zasięgaliliśmy wiadomości o tym gentlemanie i dowiedzieliśmy się, że ma farmę w Kanadzie. Wedle naszych informacji, jest to młodzieniec bez zarzutu. Nie mówię teraz jako lekarz, lecz jako wykonawca testamentu sir Karola.

– Czy nie ma innych kandydatów do spadku?

– Żadnego. Mógłby nim być tylko Roger Baskerville, najmłodszy z trzech braci, z których sir Karol był najstarszym. Drugi brat, zmarły przedwcześnie, był właśnie ojcem owego Henryka. Trzeci, Roger, był synem marnotrawnym, żywą podobizną duchową starego Hugona. Tyle nabroił w Anglii, że nie mógł już tu przebywać, uciekł do Ameryki Środkowej i umarł w roku 1876-ym na żółtą febrę. Henryk jest ostatnim z Baskerville'ów. Za godzinę i pięć minut mam go spotkać na dworcu Waterloo. Miałem depeszę z uwiadomieniem, iż przybył dziś do Southampton. A teraz, panie Holmes, powiedz, jak mi radzisz postąpić?

– Dlaczego sir Henryk nie miałby wrócić do domu swych ojców?

– Wydaje się to rzeczą naturalną, a jednak, jeśli weźmiemy pod uwagę, że każdego z Baskerville'ów, który tam przebywa, czeka śmierć nagła i gwałtowna... Jestem pewien, że gdyby sir Karol mógł być ze mną mówić przed katastrofą, byłby mi zakazał

wprowadzać ostatniego z rodu do owej przeklętej rezydencji. Z drugiej strony, dobrobyt całej okolicy zależy od przebywania dziedzica w Baskerville-Hall. Całe dzieło, zapoczątkowane przez sir Karola, pójdzie wniwecz, jeśli nikt nie zamieszka na zamku. Boję się, aby dobro tej okolicy nie skłoniło mnie do niełojalnego postąpienia z sir Henrykiem i dlatego proszę pana o radę.

Holmes zastanawiał się długą chwilę.

– Zatem – odezwał się – według pańskiego przekonania, jakaś siła nieczysta grozi w tych stronach Baskerville'om. Wszak pan w to wierzy święcie?

– Gotów jestem przypuszczać, że tak jest.

– W takim razie, ta siła nieczysta może pastwić się nad Baskerville'om równie dobrze w Londynie, jak i w Devonshire. Szatan, którego działanie byłoby umiejscowione, nie byłby groźny.

– Starasz się pan ośmieszyć moją obawę, panie Holmes. Lecz gdybyś sam widział te rzeczy nadprzyrodzone, odechciałoby ci się żartów. Z pańskich słów miarkuję, że ów młodzieniec jest równie bezpieczny w Londynie, jak i w Devonshire. Przybywa za pięćdziesiąt minut. Cóż mi pan radzisz?

– Radzę wziąć dorożkę, zawołać psa, który skowyczy za drzwiami i jechać na dworzec Waterloo na spotkanie sir Henryka Baskerville'a.

– A potem?

– A potem nic mu pan nie powiesz, dopóki nie namyślę się w tym względzie.

– Jak długo potrzebujesz pan namyślać się?

– Dwadzieścia cztery godziny. Poproszę cię, doktorze Mortimer, abyś mnie odwiedził jutro rano o dziesiątej. A zechciej przywieźć ze sobą sir Henryka Baskerville'a. To mi ułatwi wykonanie mego planu.

– Zrobię, jak pan chcesz.

Doktor zapisał godzinę na mankiecie i wyszedł. Pan Holmes zatrzymał go na schodach.

– Jeszcze jedno pytanie – rzekł. – Powiadasz, przed śmiercią sir Karola kilku ludzi widziało to zjawisko na łące?

– Tak, trzech ludzi.

– Czy który z nich widział je potem?

– Nie wiem.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

Holmes powrócił na swoje miejsce. Był widocznie zadowolony.

– Wychodzisz, Watson? – rzekł.

– Czy potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie, mój drogi. Poproszę cię o nią dopiero w chwili działania. Sprawa wyjątkowa. Przechodząc obok Bradleya, zechciej wstąpić do sklepu i każ mi przynieść paczkę najmocniejszego tytoniu. Jeżeli możesz, byłbym ci bardzo obowiązany, gdybyś tu nie wracał przed wieczorem, a wtedy zestawimy nasze wrażenia i poglądy.

Wiedziałem, że samotność jest niezbędna mojemu przyjacielowi w chwilach, gdy zastanawia się nad poszlakami

spraw kryminalnych, gdy wyciąga wnioski i tworzy teorie, które okazywały się zawsze słuszne. Toteż cały dzień spędziłem w klubie i dopiero około dziewiętej powróciłem do mieszkania przy Baker Street.

Gdy drzwi otworzyłem, zdało mi się, że w mieszkaniu był pożar: światło lampy ukazywało się jakby za czarną mgłą. Po chwili zmiarkowałem, że dym pochodzi nie od ognia, lecz od mocnego tytoniu. Wśród kłębow ujrzałem Holmesa w szlafroku. Siedział w fotelu z fajeczką w ustach. Na stole leżało kilka zwitków papieru. Odkaszałem.

– Zaziębiłeś się? – spytał.

– Nie, ale można się tu udusić.

– Otwórz okno. Widzę, że spędziłeś cały dzień w klubie...

– Po czym to miarkujesz, Holmes?

– Jesteś trzeźwy, pachnący, w dobrym humorze. Nigdy nie domyślisz się, gdzie ja byłem.

– Nie będę nad tym suszył głowy. Powiesz mi sam.

– A więc byłem w Devonshire.

– Myśłą?

– Tak. Moje ciało pozostało tutaj, na tym fotelu, i skonsumowało dwa olbrzymie imbryki kawy i niezliczoną moc tytoniu. Po twoim wyjściu posłałem do Stamforda po mapę tej okolicy i błądziłem po niej przez dzień cały. Pochlebiam sobie, że każda piędź ziemi jest mi teraz dobrze znana.

– To zapewne mapa o wielkiej skali?

– Tak.

Rozwinał ją i położył na kolanie.

– Widzisz – mówił – oto łąka, a to – Baskerville-Hall.

– Naokoło las.

– Istotnie. A oto Aleja Wiązów, na lewo od łąki. Tu jest wioska Grimpen, w której doktor Mortimer obrał swoją główną kwaterę. W obrębie mil pięciu mało jest ludzkich siedzib. Oto Lafter-Hall. Tu domek przyrodnika Stapletona. Tutaj dwie farmy: High Tore i Fulmire. O czternaście mil dalej – więzienie państwowe Princetown. Dokoła i pośrodku – łąki i trzęsawiska. Taki jest teren, na którym rozegrała się owa tragedia. Postaramy się odtworzyć wszystkie jej sceny i akty.

– Miejscowość bezludna.

– Tak. Diabeł mógł się na niej rozgościć...

– A zatem i pan skłaniasz się do nadprzyrodzonych wyjaśnień...

– Sługami Diabła mogą być ludzie z krwi i kości. Należy przede wszystkim rozstrzygnąć dwa zagadnienia: po pierwsze, czy zaszła zbrodnia? Po wtóre: w jaki sposób ją spełniono? Jeżeli doktor Mortimer nie jest w błędzie, jeśli się okaże, że mamy do czynienia z nadprzyrodzonymi siłami, w takim razie dochodzenia sądowe są bezużyteczne. Ale musimy wyczerpać wszelkie inne hipotezy, zanim dojdziemy do tego wniosku. Może być zamknięte okno. Znajduję, że skoncentrowana atmosfera pomaga do skupienia myśli. Czy zastanawiałeś się w ciągu dnia nad tą sprawą?

– Myślałem o niej dużo. Jest istotnie dziwna.

– Są w niej punkty charakterystyczne. I tak, na przykład, zmiana śladów.

– Doktor Mortimer wyjaśnił to w ten sposób, że sir Karol szedł potem na palcach.

– Doktor powtórzył tylko to, co jakiś dudek powiedział na śledztwie. Po cóż by sir Baskerville miał chodzić na palcach? Nie, on po prostu biegł, **uciekał**, aż wreszcie padł twarzą na ziemię.

– Przed czymże uciekał?

– To właśnie należy wyświetlić! Są poszlaki, że już był wylekniiony, zanim począł uciekać.

– Skąd wiesz?

– Przypuszczam, że nastraszyło go coś, co ujrzał na łące. Ten widok pozbawił go przytomności, bo inaczej nie byłby uciekał w stronę przeciwną, zamiast biec ku pałacowi. Jeżeli świadectwo Cygana jest wiarygodne, – biegnąc, wołał o pomoc, a pędził tam, skąd pomoc w żaden sposób nadejść nie mogła. Dalej: na kogo czekał owej nocy i dlaczego czekał w Alei Wiązów, zamiast w domu?

– Więc sądzisz, że czekał na kogoś?

– Był niemłody, chory. Zapewne mógł być wyjść na spacer, ale nie w taką noc, ciemną, wilgotną. Czemu stał przez pięć do dziesięciu minut przy furtce, jak to wywnioskował doktor Mortimer z popiołu cygara?

– Wszak sir Karol wychodził co wieczór?

– Wątpię, czy co wieczór po dziesięć minut stawał przy furtce. Wiemy nawet, że zwykł był unikać łąki. Przeciwnie, owego

wieczora czekał przy niej. Było to w wilię jego odjazdu do Londynu. Rzecz zaczyna się rozjaśniać. Mój drogi, podaj mi skrzypce. Mówmy o czym innym. Dajmy pokój tej sprawie aż do przybycia doktora Mortimera i sir Henryka Baskerville'a.

## IV. Sir Henryk Baskerville

Zjedliśmy wcześniej śniadanie. Holmes czekał na zapowiedzianą wizytę. Nasi klienci stawili się punktualnie. Biła właśnie dziesiąta, gdy do pokoju bawialnego wszedł doktor Mortimer, a za nim młody baronet.

Ten ostatni był niewielkiego wzrostu, silnie zbudowany, miał lat ze trzydzieści, włosy i oczy ciemne; gęste czarne brwi nadawały jego twarzy wyraz stanowczy, a nawet srogi. Z całej jego postawy i ogorzałego oblicza było znać, że dużo przebywał na świeżym powietrzu; wyglądał na skończonego gentlemana.

– Oto sir Henryk Baskerville – prezentował doktor Mortimer.

– Tak, jestem tu we własnej osobie, a co dziwniejsza, panie Holmes, że gdyby mój przyjaciel nie zaproponował mi tej wizyty, sam przybyłbym do pana.

– Niechże pan siada. Czyżby od pańskiego przybycia do Londynu zdarzyło się panu coś niezwykłego?

– Zażartowano ze mnie. Dziś rano dostałem ten list.

Sir Henryk położył na stole kopertę; wszyscy nachyliliśmy się nad nią. Była to zwykła, szara koperta; adres: **Sir Henryk Baskerville, Northumberland Hotel** – wypisany był drukiem, stempel Charing Cross i data na kopercie z poprzedniego wieczora.

– Kto wiedział, że pan zatrzyma się w Northumberland Hotel? – spytał Holmes, spoglądając bystro na swego klienta.

– Nikt nie mógł wiedzieć. Zdecydowałem się dopiero po spotkaniu doktora Mortimera.

– Doktor Mortimer mieszkał już tam zapewne?

– Bynajmniej. Zatrzymałem się u znajomego – odparł doktor.

– Nie było żadnych poszlak, wskazujących, że chcemy stanąć w tym właśnie hotelu.

– Hm! ktoś widocznie śledzi pańskie kroki.

Holmes wyjął z koperty papier dużego formatu, rozłożył go na stole. Na środku arkusza było jedno zdanie. Brzmiało w te słowa:

**Jeśli dbasz o życie, strzeż się trzęsawiska.**

Tylko jedno słowo: „trzęsawiska” było wypisane atramentem, reszta drukowanymi literami.

– A teraz, panie Holmes – rzekł sir Henryk Baskerville – może mi pan wytłumaczy, co znaczą te słowa i kto interesuje się moją osobą?

– Cóż pan o tym myślisz, doktorze Mortimer? Musisz chyba przyznać, że nie ma w tym nic nadnaturalnego.

– Nie, lecz te słowa mogą być skreślone przez kogoś, kto wierzy w nadprzyrodzoną siłę, rządzącą tą sprawą.

– Jaką sprawą? – podchwycił sir Henryk Baskerville. – Widzę, że panowie jesteście lepiej ode mnie powiadomieni o moich interesach.

– Zanim stąd wyjdiesz, sir Henryku, będziesz wiedział to, co i my – oświadczył Sherlock Holmes. – Tymczasem zajmijmy się tym ciekawym dokumentem. List został naklejony i wrzucony

do skrzynki wczoraj wieczorem. Czy masz wczorajszy „Times”, Watson?

– Leży tutaj.

– Proszę cię o niego. Chcę zobaczyć wewnętrzną kolumnę z artykułem wstępnym.

Przebiegł okiem wzdłuż szpalty.

– Artykuł wstępny traktuje o wolnym handlu. Pozwólcie mi odczytać z niego jeden ustęp:

„Nie należy się łudzić, że taryfa protekcyjna osłoni nasz przemysł. Takie prawo zmniejszy tylko obieg kapitałów i sprawi, że życie będzie droższe w Anglii. Jeżeli więc dbasz o swój dobrobyt, szanowny obywatelu, strzeż się głosować za rzecznikami tej idei”.

– Cóż o tym myślisz, Watson? – zawołał Holmes, zacierając ręce z radości. – Czy nie znajdujesz, że wyrażone poglądy są bardzo głębokie?

Doktor Mortimer spojrzał na Holmesa z zaciekawieniem; sir Henryk był widocznie zdziwiony.

– Nie znam się na taryfach – rzekł – ale nie widzę, aby te słowa miały nas wprowadzić na trop autora listu.

– I owszem. Watson zna mój system. Czy zrozumiałeś znaczenie tego zdania dla naszej sprawy?

– Przyznaję, że nie widzę żadnej łączności pomiędzy tymi słowami a przestrożą, zawartą w liście anonimowym.

– A jednak, kochany Watson, łączność jest tak ścisła, że jedno wpływa z drugiego. **Życie, dbasz, strzeż się** – czyż nie widzisz,

skąd są wzięte owe słowa?

– Masz pan słuszność! – zawołał sir Henryk.

– Wszelkie wątpliwości rozprasza fakt, że słowa zostały wycięte w całości, nie zaś pojedynczymi literami, a nawet widzimy dwa słowa wycięte razem: **dbasz o...**

– Doprawdy, panie Holmes, to przechodzi wszelkie pojęcie – rzekł doktor Mortimer, patrząc na mego przyjaciela ze zdumieniem. – Nie dość, że pan poznałeś od razu, iż słowa zostały wycięte z dziennika, ale domyśliłeś się, z którego. Powiedźże nam, jakim sposobem?

– Sądzę, że potrafiłbyś, doktorze, odróżnić czaszkę Murzyna od czaszki Eskimosa?

– Naturalnie. Badanie czaszek – to moja specjalność.

– Dla moich oczu różnica pomiędzy **burgosowymi** czcionkami artykułów wstępnych „Timesa” a **petitowym** drukiem pism wieczornych jest tak wielka, jak dla pana między czaszką Eskimosa a Murzyna. Badanie druków jest elementarzem wiedzy **detektywa**.

– O ile można przypuszczać, te słowa zostały wycięte scyzorykiem.

– Nie; nożyczkami i to bardzo ostrymi i krótkimi. Po wycięciu naklejono je gumą na papierze.

– Ale dlaczego słowo: **trzęsawisko** zostało wypisane ręcznie?

– Bo nie ma go w artykule.

– Czy coś jeszcze zwróciło pańską uwagę, panie Holmes? – pytał sir Henryk.

– Dostrzegam parę wskazówek, choć starano się zatrzeć wszelkie ślady. Adres wypisany literami drukowanymi ręką niewprawną, ale skądinąd „Times” jest czytany przez ludzi inteligentnych. Wyprowadzam stąd wniosek, że autorem anonimu jest człowiek wykształcony, który chce uchodzić za nieuka; sam fakt, że ukrywa swe pismo, dowodzi, że pan znasz, lub że mógłbyś poznać to pismo. Dalej: słowa nie są naklejone w prostej linii; i tak, na przykład, **życie** nie jest na swoim miejscu właściwym. To świadczy o niedbałości lub o wzruszeniu. Przypuszczam raczej to ostatnie. Korespondent śpieszył się widocznie... ale dlaczego? Wiedział, że list, wrzucony wieczorem, choćby najpóźniej, dojdzie rąk sir Henryka nazajutrz przed jego wyjściem z hotelu. Czyżby ów nieznajomy bał się, że mu przerwą robotę?

– Wkraczamy teraz w dziedzinę domysłów – wtrącił doktor Mortimer.

– Powiedz pan raczej, że na pole prawdopodobieństw. Może to pan nazwać domysłem, ale ja jestem pewien, że adres został skreślony w hotelu.

– Skąd pan to wie?

– Jeżeli panowie przyjrzą się mi dokładnie, to zmiarkujecie, że piszący miał kłopot z piórem i atramentem. Pióro pryskało dwa razy w jednym słowie, i wyszło trzy razy przy wypisywaniu tak krótkiego adresu, co dowodzi, że było bardzo mało atramentu w kałamarzu. Otóż w domu prywatnym rzadko się zdarza, aby atrament wysechł i żeby pióro było w tak

złym stanie. Ale wiadomo, czym są pióra i kałamarze hotelowe. Sądzę, że badając kałamarze w hotelach w pobliżu Charing Cross, znajdziemy wycięty numer „Timesa” i zdołamy odszukać osobę, która ten list przesłała.

Obejrzał starannie papier, na którym były przyklejone słowa, ale nie mógł dojrzeć nic osobliwego.

– Czy zdarzyło się panu co jeszcze od chwili, gdyś pan przybył do Londynu? – spytał sir Henryka.

– Nic zgoła.

– Czy nie zauważyłeś pan, że pana śledzą?

– Nie. Któż by miał ochotę mnie śledzić? Nikt mnie tu nie zna.

– Czy nie miał pan jakiej niespodzianki?

– Żadnej. Chyba tę tylko, że mi zginął jeden but.

– Zginął panu but? A to w jaki sposób?

– Znajdziesz go pan zapewne po powrocie do hotelu. Nie warto trudzić pana Holmes takimi drobiazgami – przerwał mu doktor Mortimer.

– Przepraszam; to nie jest drobiazg – zaprzeczył detektyw. – Jakże to było?

– Wystawiłem na korytarz oba buty do czyszczenia. Nazajutrz był tylko jeden. Posługacz nie wiedział, co się stało z drugim. Kupiłem te buty wczoraj i nie miałem ich wcale na nogach.

– Jeżeli ich pan nie nosiłeś, czemu je dawałeś do czyszczenia?

– Buty przechodziły przez tyle rąk w sklepie, że potrzebują czyszczenia.

– A zatem wczoraj, po przyjeździe do Londynu, robiłeś pan

sprawunki?

– Robiłem ich dużo. Towarzyszył mi doktor Mortimer. Bo to muszę panu wyznać, że pędząc życie swobodne, na świeżym powietrzu, zaniedbałem się trochę, a trzeba było przygotować się do odegrania roli pana licznych włości. Pomiedzy innymi kupiłem te żółte buty, zapłaciłem za nie sześć szylingów. Ale ukradli mi jeden, zanim je włożyłem na nogi.

– To dziwne. Na co może się zdać jeden but? – zastanawiał się Sherlock Holmes.

– A teraz, panowie – rzekł baronet – czekam na spełnienie obietnicy. Chciałbym się dowiedzieć o tym, co ukrywaliście przede mną.

– Pańskie żądanie jest słuszne – odparł Holmes. – Doktorze Mortimer, sądzę, że masz obowiązek opowiedzieć sir Henrykowi to, coś nam opowiadał.

Otrzymawszy taką zachętę, lekarz wyjął papiery z kieszeni i przedstawił całą sprawę nowemu baronetowi.

Sir Henryk Baskerville słuchał uważnie, przerywając od czasu do czasu okrzykiem zdziwienia.

– Ha! widzę, że otrzymał spadek, do którego przywiązana jest jakaś zemsta – rzekł wreszcie, gdy opowiadanie dobiegło końca. – Ma się rozumieć, słyszałem o owym psie od czasów niepamiętnych, jeszcze z ust moich nianiek. Dotychczas jednak nie przywiązywałem wagi do tej legendy. Teraz widzę, że śmierci mojego stryja towarzyszyły istotnie okoliczności tajemnicze. Panowie sami jeszcze nie wiecie, czy ta sprawa wchodzi w zakres

działania policjantów, czy też pastorów. A w dodatku dostaję ów list zagadkowy...

– Widać z niego, że ktoś śledzi łąkę i przyległe do niej pustkowie i trzęsawiska – rzekł doktor Mortimer.

– I że ktoś jest dla pana źle usposobiony, bo inaczej druga osoba nie miałaby powodu ostrzegać go o niebezpieczeństwie.

– A może, dla wiadomych im przyczyn, chcą oddalić stąd sir Henryka.

– I to jest możliwym, i wdzięczny jestem panu, doktorze Mortimer, że mnie tę myśl poddałeś. Obecnie chodzi o to, czy sir Henryk ma, czy też nie ma wyruszyć do Baskerville-Hall?

– Czemuż by nie miał?

– Zdaje się, że panu tam grozi niebezpieczeństwo.

– Czy mówisz pan o niebezpieczeństwie ze strony ludzi, czy też ze strony czworonożnego wroga Baskerville'ów?

– Nasze badania to wykryją.

– Bądź co bądź, jestem zdecydowany. Nie ma w piekle takiego szatana, ani na ziemi takiego człowieka, który by mi przeszkodził zamieszkać w domu moich przodków.

Przy tych słowach sir Henryk brwi zmarszczył, z oczu posypały mu się iskry. Widocznie śmiały duch Baskerville'ów nie wygasł w ostatnim potomku rodu.

– Teraz – mówił dalej – muszę zastanowić się nad tym, com się dowiedział. Chciałbym mieć godzinę czasu do namysłu. Jest wpół do pierwszej. Wracam do hotelu. Może będzie panowie przyszli tam do mnie na śniadanie o drugiej? Wówczas będę

mógł powiedzieć, co o tym wszystkim myślę.

– Dobrze. Stawimy się na oznaczoną godzinę.

– A zatem do widzenia.

Po wyjściu naszych gości, Holmes zerwał się i zawołał:

– Watson, bierz kapelusz i laskę. Nie ma chwili czasu do stracenia.

Wybiegł z pokoju w szlafroku; w minutę potem ukazał się w surducie. Zbiegliśmy ze schodów. Na ulicy zobaczyliśmy sir Henryka i doktora Mortimera o paręset metrów przed sobą. Szli w kierunku Oxford Street.

– Czy mam ich dogonić i zatrzymać? – spytałem.

– Broń Boże! – odparł. – Twoje towarzystwo wystarcza mi najzupełniej. Ci panowie dobrze robią, że idą się przejść. Dzień ładny.

Szedł krokiem przyśpieszonym, aż dopóki przestrzeń pomiędzy nami a tamtymi nie zmniejszyła się o połowę; następnie, trzymając się wciąż o sto łokci od nich, szedł za nimi przez całą Oxford Street aż do Regent Street. Nasi przyjaciele zatrzymali się raz przed wystawą sklepową. Holmes stanął także. Po chwili wydał cichy okrzyk zadowolenia. Spojrzałem w kierunku jego wzroku i zobaczyłem, że dorożka z siedzącym w niej mężczyzną, która zatrzymała się po drugiej stronie ulicy, jedzie znowu dalej.

– Chodźmy, Watson. Trzeba mu się przyjrzeć.

Dostrzegłem czarną, puszystą brodę i oczy, świdrujące nas poprzez szybę dorożki. W tejże chwili podniosło się okienko w

puhle, nieznajomy rzucił parę słów woźnicy i dorożka pomknęła szybko w stronę Regent Street.

Holmes obejrzał się za drugą, ale nie było żadnej niezajętej. Popędził pieszko, ale dorożka jechała tak szybko, że niepodobna było jej dogonić. Niebawem zniknęła nam z oczu.

– Tam do kata! – zaklął mój przyjaciel. – Tośmy się urządzili! Nie do darowania!...

– Kto to był? – spytałem.

– Nie mam pojęcia.

– Zapewne szpieg.

– Z tego, com słyszał od Baskerville'a, przypuszczam, że od chwili jego przybycia do Londynu ktoś go śledzi, bo inaczej, skąd by wiadano tak szybko, że stanął w hotelu Northumberland? A jeżeli go śledzili w pierwszym dniu pobytu, niewątpliwie będą śledzić dalej. Zauważyłeś zapewne, że podczas gdy doktor Mortimer czytał, wyglądałem dwukrotnie przez okno.

– Spostrzegłem to.

– Otóż patrzałem, czy nikt nie stoi po przeciwnej stronie ulicy; ale nie było nikogo. Mam do czynienia z przebiegłym lisem, a choć dotychczas nie mogę zmiarkować, czy ów nieznajomy pragnie zguby sir Henryka, czy też chce go przed niebezpieczeństwem uchronić, czuję, że trzeba się z nim liczyć. Po wyjściu sir Baskerville'a wybiegłem co tchu, aby zobaczyć jego cień. Ale ten człowiek wsiadł do dorożki, sądząc, że w ten sposób nie zwróci na siebie uwagi.

– Oddaje go to na łaskę i niełaskę dorożkarza. Szkoda, że nie

dostrzegliśmy numeru – zauważył Watson.

– Mój drogi, czyż sądzisz, że mogłem przeoczyć tak ważny szczegół? Zapamiętałem numer dorożki. 2704. Ale tymczasem na nic się to nie zda. Zrobiłem wielkie głupstwo... Zamiast śledzić dorożkę z przodu, trzeba było zawrócić się i wsiąść do pierwszej lepszej, znajdującej się z tyłu. W ten sposób moglibyśmy jechać za nią, albo kazać się zawieźć wprost do Northumberland Hotel i tam czekać. Zbytняя gorliwość była wielkim błędem. Nasz przeciwnik nie omieszkał z niego skorzystać.

Szliśmy powoli przez Regent Street. Doktor Mortimer i jego towarzysz od dawna już zniknęli nam z oczu.

– Nie warto ich śledzić – rzekł Holmes. – Tamten już umknął i nie pojawi się zapewne. Trzeba korzystać z tych nici, które trzymamy w ręku. Czy zapamiętałeś twarz nieznanego?

– Zapamiętałem tylko brodę.

– I ja także; wyprowadzam stąd wniosek, że była przyprawiona. Wejźmy tutaj.

Weszliśmy do hotelu. Zarządzający przyjął Holmesa z wielką radością.

– Jak widzę, pamiętasz, Wilson, drobną przysługę, którą miałem sposobność ci wyświadczyć – rzekł mój przyjaciel.

– Nie zapomnę jej nigdy. Uratowałeś mi pan honor i życie.

– Przesadzasz, mój drogi. Wszak macie tu posługacza nazwiskiem Cartridge, który wykazał dużo sprytu podczas śledztwa.

– Tak; jest jeszcze u nas.

– Czy mógłbyś zadzwonić na niego? Dziękuję. A chciałbym też zmienić pięćofuntowy banknot.

W sieni ukazał się chłopak czternastoletni, zwinny, wesoły i rozgarnięty. Stał przed detektywem w postawie pełnej uszanowania.

– Proszę o spis hoteli. Dziękuję. Patrz, Cartridge: oto nazwy dwudziestu trzech hoteli w pobliżu Charing Cross. Widzisz?

– Tak, panie.

– Zwiedzisz każdy z nich po kolei.

– Dobrze, panie.

– Zacziesz od dania szylinga portierowi. Oto masz dwadzieścia trzy szylingi.

– Dobrze, panie.

– Będiesz mówił, że potrzebne ci są gazety wczorajsze, że szukasz ważnego ogłoszenia, które miało być umieszczone w jednej z nich, ale nie wiesz – w której.

– Rozumiem, panie.

– W istocie będziesz szukał numeru „Timesa”, w którym kilka słów zostało wyciętych nożyczkami. Oto jest jeden egzemplarz. Na tej stronie. Czy poznasz ją?

– Poznam.

– Za każdym razem portier, stojący we drzwiach, wezwie portiera, siedzącego w sieni – i temu dasz po szylingu. Oto dwadzieścia trzy szylingi. Zapewne na 23 razy – 20 razy usłyszysz, że spalono wczorajsze gazety; w trzech hotelach

dadzą ci całą plikę; będziesz wśród niej szukał tego numeru „Timesa”. Prawdopodobnie go nie znajdziesz. Oto dziesięć szylingów na nieprzewidziane wydatki. Wypraw do mnie depezę przed wieczorem na Baker Street. A teraz, Watson, musimy dowiedzieć się o dorożkarza Nr 2704, potem wstąpimy do galerii obrazów przy Bond Street, dla zapełnienia sobie czasu do godziny drugiej.

## V. Trzy nici urwane

Sherlock miał niezwykły dar zwracania dowolnie swoich myśli w jakim bądź kierunku. Przez półtorej godziny zapomniał o tej dziwnej sprawie; pochłonięty go obrazy nowoczesnych mistrzów belgijskich, mówił tylko o sztuce, na którą miał poglądy bardzo oryginalne.

O naznaczonej godzinie stanęliśmy przed Northumberland Hotel.

– Sir Henryk Baskerville czeka panów na pierwszym piętrze – rzekł portier.

– Czy mogę zajrzeć do listy waszych gości? – spytał Holmes.

– I owszem.

Księga wykazywała, że dwie osoby stanęły w hotelu, po zatrzymaniu się tam sir Henryka: niejaki Teofil Johnson z rodziną, przybyły z Newcastle i pani Oldmore ze służącą, z High Lodge, Alton.

– Zdaje mi się, że znam tego Johnsona – rzekł Holmes do portiera. – Wszak to adwokat: siwy, utyka.

– Przeciwnie: ten pan Johnson jest właścicielem kopalni węgla, bardzo ruchliwy, w wieku pana.

– Jesteś w błędzie co do jego fachu.

– Bynajmniej. Znamy go od lat kilkunastu; zawsze do nas zajżdża.

– Ha! w takim razie, ja się pomyliłem. Pani Oldmore?... I

to nazwisko jest mi znane. Daruj mi ciekawość, ale chciałbym wiedzieć, czy to moja znajoma.

– Jest to osoba niemłoda, bezwładna. Jej mąż był niegdyś merem w Gloucester. Ona zawsze do nas zajeżdża.

– Dziękuję za informacje. Widzę, że to kto inny. Nie znam tej pani...

Gdyśmy szli na górę, mój przyjaciel szepnął:

– Wiemy już, że osoba, która interesuje się losem sir Henryka, nie stanęła w tym hotelu. Choć go śledzi, jednak boi się być śledzona. Jest to fakt bardzo znamienny. Ale... cóż to się stało?

...

Gdyśmy weszli na pierwsze piętro, naprzeciw nam wybiegł sir Henryk, widocznie wzburzony. W rękę trzymał stary but.

– Drwią sobie ze mnie w tym hotelu! – wołał – ale nauczę ich rozumu! Jeżeli but się nie znajdzie, popamiętają mnie tutaj!

– Szuka pan wciąż buta?

– Tak, ale nie puszczę tego płazem!

– Wszak pan mówił, że but był żółty?

– Tak; wzięli mi naprzód żółty, a teraz czarny. Miałem tylko trzy pary: nowe żółte, stare czarne i te oto lakierki. Wczoraj zniknął jeden od żółtej pary, a dziś jeden od czarnej. No, i cóż? Znalazłeś go? Mów.

Przed nami stał wystraszony posługacz, Niemiec.

– Nie znalazłem – odparł głosem drżącym. – Szukałem wszędzie, ale zginął bez śladu...

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.